

W skórze niczyjej

Andrzej Niewiadomski

Tremo

Stowarzyszenie Literackie „Kresy”
Lublin 2010

Jak najkrócej zdefiniować świat? Miejsce wydarzeń. Idąc nieco dalej, można tę przestrzeń sprowadzić do zasięgu czyjejś świadomości. Andrzej Niewiadomski w swoim najnowszym tomiku przeprowadza „wewnętrzny” eksperyment, obsadzając samego siebie w roli demurga i niszczyiciela rzeczywistości jednocześnie. Przebieg tego doświadczenia wystawił na widok publiczny, wydając Tremo właśnie.

O konieczności (jakiegokolwiek) obecności odbiorcy świadczy – dość osobliwy – jego status na mapie rezerwatu podmiotu:

„wcześniej, dużo wcześniej: ciało czytelnika,
znoszone
po trapie, rozlegają się przeciągłe gwizdki”
(Locja, s. 9).

Nie znaczy to oczywiście, że od książeczki należy uciekać z krzykiem, obawiając się o własne życie – wręcz przeciwnie. Konstruktor wprowadza

„ciało obce” w takiej właśnie formie, aby ochronić je przed konsekwencjami rozpadu jego świata. Czytelnik, będąc martwy, nie należy do tego krajobrazu i jednocześnie jest w nim obecny. Przegląda się zatem w tej samej powierzchni, w której odbija się autor.

Tytułowe tremo to podłużne lustro, montowane pomiędzy oknami lub nad kominkami w salonach. Oprócz dekoracyjnej spełniało ono również inną funkcję – optycznie zwielokrotniało (falszowało?) przestrzeń i jednocześnie dawało możliwość oglądu tego samego miejsca z innej, pozornie niedostępnej perspektywy.

Wiersz, który użyczył książce tytułu, znajduje się dokładnie w jej środku (jako dwudziesty ósmy, licząc tak od przodu, jak i od tyłu). Autor nie umieścił go tu zresztą bez powodu – od tego bowiem momentu coś niepokojącego zaczyna się dziać z liryką Niewiadomskiego. Obraz, który ze sobą niesie, przestaje sprawiać wrażenie realistycznego odbicia rzeczywistości, przestaje udawać.

„[ściana] przestała być sobą nie jest otwartym
oknem,
na wprost jest i nie odbija zamysłonej twarzy,
podpartej na tokciu o konsolę, odbija
plecy, ciało ruchome, całe, odchodzące
w niewiadomym kierunku”
(Tremo, s. 38).

Natychmiast na myśl przychodzi obraz René Magritte’a Reprodukacja zakazana. Treści całego tomiku towarzyszy zresztą poczucie niepokoju, niespójności. Zaczyna brakować w nim elementów spodziewanych. To, co zostaje zawarte w słowach, przypomina już nie tyle to, co przedstawia tafla lustra, ile raczej poruszoną taflę wody. Do głosu dochodzą zatem terminy akwaticzne,

które – co ciekawe – przestają być nośnikami dosłownych znaczeń. Literalnie rozmywają się, podtrzymują płynność, jakiej świat Tremo nabiera.

[...] Odważnie zanurzam się,
woda jest tą formą, która nadaje
kształty wszystkiemu wokół, formą, której
się nie poszukuje”
(Świat bez przymiotników, s. 59).

Nabiera większego znaczenia i tak uwielbiana przez Niewiadomskiego – polisemia. Język warstwa się coraz bardziej, trudno na nim polegać (jego ograniczenia sugerują niektóre tytuły wierszy: Świat bez przymiotników, Wiersz bez czasowników). Ekspozowane podobieństwa foniczne słów (np. tropy, trąby, trąd) wprowadzają zamęt. Tok wyводу już od samego początku burzony był przez nachalne przerzutnie. W niektórych chwilach czytelnik faktycznie może odczuwać ulgę, że już nie żyje.

Ciekawe, że od momentu przejrzania się w lustrze zmysł wzroku zaczyna się dewaluować, obrazy są mniej szczegółowe lub wręcz pomijane. Im bliżej końca tomiku, tym mniej również rzucają się w oczy ludzie i ślady ich obecności. Koresponduje z tym stanem rzeczy specyficzne użycie czasowników. Występują one w stronie czynnej i biernej w bliskim sąsiedztwie (np. który zalecał się, który był zalecany). Erozji ulega też ciąg akcji i reakcji.

Mimo tych ułomności wiersze tętnią uczuciem, wyczuwa się w nich rozgorączkowanie. Niezależnie od tego, czy podmiot poszukuje miejsca dla siebie, czy czule się zwraca do ukochanej osoby już po swojej śmierci – na pewno nie jest to zapis beznamiętny. Pomimo że „ja” doświadcza czegoś na kształt Leśmianowskiej „śmierci wtórej” (umiera najpierw jego ciało, potem świat), do końca stara się być rzetelnym kronikarzem – chociaż ślepie, głuchnie i traci zdolność pojmowania.

W ten sposób słowa rozpoczynające tom: „Nie pamiętaj, zniszcz i wyrzuć / rzeczy, które nie są już potrzebne” – stają się zaklęciem rzuconym przez podmiot na samego siebie. Postępująca erozja obrazu i języka poprzedza ostatecznie wymazanie świata.

„Biel rośnie zewsząd, w miejscach naktuć,
w miejscach
po wzroku”
(Biel, s. 69).

Nagle stajemy w obliczu pregenezyjskiego stanu rzeczy, równoczesności obrazów z obu stron lustra:

„[...] woda jest biała i szklista,
ciała szklą się i odbijają w sobie,
nikt nigdy tego nie «opisał», nie
nazwał się «biel», nikt”
(Carne vale, s. 70).

A potem lustro ciemnieje, tomik zamyka czarna, połyskliwa okładka. Z życiem uchodzą tylko czytelnik i autor, którzy zawczasu pożegnali tamten świat.

Joanna Żabnicka